Nr. 21. **Kuryerek Poznański.** Rok I.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 24. Czerwca 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego ulica Strzelecka Nr. 1.

Po skończonym kwartale wzywa wydawnictwo Kuryjerka Poz. Szanownych swych abon. do licznego i do wczesnego abonowania się na pocztach, abyśmy wiedzieli w ilu eksemplarzach pismo nasze ma się kazać drukować. Z rozpoczęciem nowego kwartału szanowni abonenci Kuryjerka Poznańskiego zapisywać mogą na wszystkich pocztach pruskich, cena dla miejscowych pozostała ta sama, dla zamiejscowych wynosi 1 Tal. 2 Śgr. 3 Fen. — Ponieważ dla nie jednego z naszych czytelników, cena ta może nie zdawać zbyt wielką, dla tego z rozpoczęciem kwartału Kuryjerek Poznański będzie wychodzić w większym formacie. Program nasz zostanie jeden i ten sam, w łamach tylko Kuryjerka Poznańskiego będziem czytelnikom dawać w krótkim streszczeniu pogląd na ważniejsze wypadki świata politycznego. W końcu niepozostanie nam nic, jak tylko podziękować szanownym naszym abonentom za zaufanie jakiem nas obdarzyli i przeprosić ich może, za troche niegrzeczne narzucanie się z naszem pismem; aleć kto zna nasze obecne stusunki ten nam za złe tego wziąść nie może. Pracując sumiennie dla podniesienia oświaty narodowéj między klasą średnią, mamy poniekąd prawo odezwać się do poczucia narodowego i do względów szanownéj publiczności. Czyśmy zawiele obiecali, czyśmy odstąpili aby w jednym wierszu od sztandaru narodowego? niech nas sądzi Bóg i bezparcyalna czytająca a zwłaszcza **myśląca** publiczność polska.

Pogadanka.

Dobry wieczór panu dobrodziejowi, służka uniżony, cieszę się niewymownie widząc pana dobrodzieja w mieście.

— A dobry wieczór, jak się pan miewasz, co tu słychać u was?

— Oj bieda dobrodzieju, bieda!

— Bieda? No jużto Bogiem a prawdą niemamy zbyt wiele powodów do radości, ale bywało już gorzéj i znacznie gorzéj a jakoś fantazyi nie traciło się i choć wszystko upadło, czapka niespadła! Przy dobrych chęciach, wziąwszy się za ręce przetrwaliśmy biedę, wygramoliliśmy się z pod niéj i licho nas nie wzięło. A choć to nieraz mospanie dobrze nam sadła gorącego za skórę nalali, i choć niejeden z nas westchnął, a czasem i łzę, co mimowoli na wąs spłynęła, rękawem otarł, to robiło się w kącie, ukradkiem, aby broń Boże nie postrzeżono, bo za moich czasów wstydzono się wzdychać i płakać, zostawiając to białogłowom. A teraz? Panie odpuść — tak się wszystko roztkwiliło, i rozkwiliło, tak rozwzdychało i rozbeczało a robimy to tak jawnie, lamentujemy tak publicznie wobec całego świata, że poczciwego człeka, aż wstyd bierze. Niedość, że wzdychamy po dworach i chatach, po warsztatach i salonach, ale i wy z przeproszeniem panowie redaktorowie także w waszych dziennikach tak żałośne, tak desperackie na wszystkie możliwe tony wywodzicie trele, że człekowi, gdy weźmie waszą bibułę do rąk, zdaje się, iżeście ją moczyli w gorących łez kąpieli.

— Tak mówił do mnie wczoraj szlachcic staréj daty, przybyły świeżo ze wsi, a mówił dobrze i mądrze. Pożegnawszy się z nim i nałożywszy czapkę na bakier, takiéj dzięki perorze starego wiarusa nabrałem fantazyi, żem omal nie przyszedł do awantury z koleżką od innéj gazety, co zamieniawszy wioskę żoniną za pióro — bo nie podziela on już dziś zdania, że „beatus ille qui rura“ — taką spotkawszy się ze mną miał kwaśną minę, jakby dopiero co cztery kwart octu jednym wypił haustem, jakby wracał z sądu, gdzie przy ostatecznéj rozprawie miał miłe zadanie bronienia cudzego artykułu; albo jakby wracał z redakcyj, gdzie w artykule wstępnym musiał dowodzić, że dwa razy dwa jest pięć.

I prawdę mówił mój szlachcic, bo też zastanowiwszy się dobrze, nie tak to źle jeszcze znami. Na nowo życie się budzi, a skoro tylko jest życie, skoro niezamieramy, skoro niegnuśniejemy w jakiejś obrzydliwéj apatyi, niema jeszcze powodu do zwątpienia, nie wszystko jeszcze stracone. Najniebezpieczniejszem jest spokojne zgłupienie, martwota fizyczna i moralna, choć niebrak ludzi i ludów, u których takie bydlęce zgłupienie, taki spokój kamienia, jest szczytem doskonałości, ideałem szczęścia, a według pewnéj nauki jest takie spokojne zgłupienie symbolem zjednoczenia z Bóstwem. My tyle jeszcze mamy żywotności, iż do tego rodzaju szczęśliwych niezaliczamy się i dzięki Bogu zaliczać się nie chcemy; cieszmy się więc z każdego ruchu życia, z każdego ruchu, choćby objawem jego były bodaj wyścigi konne.

Wyścigają się w Paryżu, wyścigają się w Londynie, wyścigają się w Wiedniu i w Peszcie, nic więcéj dziwnego, że i my w mieście Poznaniu niechcąc pozostać po za Europą oświeconą, wyścigamy się, zwłaszcza, że zdaniem ludzi fachowych przyczyniają się tego rodzaju ćwiczenia i próby do dobra kraju pod względem materyalnym, bo do podniesienia chowu koni.

Różni różnie wprawdzie o tém mówią i piszą, a niebrak

na upartych, którzy starają się dowieść, że wyścigi konne zgoła na nic się krajowi nie przydadzą, że są one tylko małpowaniem zagranicy, że są tylko zabawką dla panów i tym podobne.

Co do zarzutu pierwszego nieodpowiadam, zostawiając ludziom fachowym rozstrzygnięcie sporu w téj mierze, tem bardziéj, że nie tu miejsce do uczonych dysertacyi; co zaś do zarzutu małpowania, śmiem zwrócić uwagę, że szanowni oponenci zapominają, iż jesteśmy ludźmi, a jako ludzie mamy naturę ludzką, a natura ludzka jest w najbliższem pokrewieństwie z naturą małpią, więc że małpując postępujemy według praw natury, a postępując według praw natury, postępujemy według praw boskich, a postępując według praw boskich, postępujemy dobrze, ergo... quod erat demonstrandum!...

A już co do zarzutu, o zabawce pańskiéj, pozwolicie, że słuszność i zasada równouprawnienia a nawet interes miasta, w którem mam honor i szczęście żyć i płacić podatki, wymaga, bym stanął po stronie panów; bo jeżeli nam mieszczanom i mieszczuchom wolno ćwiczyć się w palnéj broni i *antiquo more* bawić się strzelaniem do tarczy, dla czegoż wieśniakom — bo obok panów czyli według nowoczesnéj terminaologii tak zwanych posiadaczy wielkich posiadłości, będą wyścigać się także posiadacze mniejszych posiadłości czyli chłopi — dla czegoż więc wieśniakom mielibyśmy brać za złe podobne zabawy rycerskie, a mianowicie konne ćwiczenia i harce, zwłaszcza, że o ile wiemy mają nawet sami panowie osobiście jeździć wierzchem, aby złożyć dowód, że jeszcze jest młodzież u nas, która umie dosiąść rumaka, utrzymać się na nim, i któréj zażywanie konia nie jest obcem. Złośliwi wątpią o tem!...

A biorąc rzecz z punktu utylitarnego, który w dzisiejszych czasach tak wielkie przybiera rozmiary, miasto jako miasto, wcale wyścigom nie może być przeciwne, bo jakkolwiekbądź, klasa pracująca korzyść z nich odniesie. Miastu jako siedlisku i ognisku przemysłu i handlu pożądanem jest zjazd ludzi posiadających grosz gotowy, mniejsza ztem czy własny, czy pożyczony, zawsze zostanie on w mieście a przynajmniéj znaczniejsza część jego przejdzie w ręce traktyernika i korzennika, i szewca i krawca, i rymarza i kowala, i modniarki.

Czytając czasem artykuły wstępne niektórych dzienników, albo co gorsza smażąc mózg sobie nad napisaniem artykułu wstępnego — zwłaszcza kiedy mię ząb boli, albo dziecko płacząc nad uchem, ciągnie za połę, aby mu zrobić pukawkę — o! wtedy zazdroszczę anglikom, którzy już dawno padli na pomysł szczęśliwy zamieszczania inseratów na czele dziennika w miejscu artykułów wstępnych. Pyszna inwencya! już to Anglicy zawsze wynalazkami celują... Co by to publiczności szkodziło, gdybyśmy taką reformę w dziennikarstwie zaprowadzili? tembardziéj, że o ile uważam większa jéj część od inseratów, od ostatniéj stronnicy dziennik czytać zwykle zaczyna, nie dla tego, żeby chciała iść o lepsze zbraćmi wyznania mojżeszowego, lecz dla tego, widać, że ją inseraty najwięcéj obchodzą, a może najwięcéj bawią! Dogodzilibyśmy więc smakowi publiczności, a już o dogodności dla redaktorów i dotychczasowych autorów artykułów wstępnych i mówić nie potrzebuję.

Wracając do wyścigów, które uwziąłem się z jak najlepszéj zaprezentować strony, dodam, że z nich i artysta niepospolitą odnieść może korzyść; bo jeżeli w czasie zjazdu wyścigowego niebędzie obrazu, który na wystawie ostatniéj nie przypadł do smaku „rzeźbiącego recenzye krakowskiego Benvenuta“ to przynajmniéj będzie miał sposobność zebrania ciekawych wzorów do albumu rysowniczego, będzie miał przepyszne materyały do karykatur, a nawet jeżeli jest nie tęgim w kolorycie, znajdzie na błoniach niezrównane egzemplarze obrazów w literalnem tego słowa znaczeniu, bo ileż to tam będzie twarzy malowanyhh „al fresco“?! Ten rodzaj malowania wchodzi tak bardzo w modę, że radziłbym naszym chemikom, aby zarzuciwszy wszelkie inne eksperymenta i preparaty, wzięli się do fabrykacyi en gros różu i bielidła, nim się rozpowszechni moda malowania nietylko własnych twarzy, brwi i wąsów, ale i psich i końskich ogonów. Moda taka grasuje już w Paryżu, a co w Paryżu piękne i mądre, czyż może być, by u nas niezostało uznanem, u nas tak pojętnych, tak wrażliwych? u nas, co tak kapitalnie umiemy naśladować, że z Chinczykami moglibyśmy iść w zawody, u nas, którzy tak pasyami lubimy przebierać się za kogo innego i przedstawiać się tem czem niejesteśmy? Jest to jednem ze znamion naszych, niewiem czy koniecznie podchlebnych, ale zawsze charakterystycznych. Ten dar naśladownictwa „donne nous un vernis de distinetion.“ czyli mówiąc po naszemu, dzięki temu darowi, umimy się wyśmienicie polityrować tak, że sami na sobie się niepoznajemy i dzięki téj polityrze, uchodzi często olszyna za machoń!

Bądź wola Twoja.

Modlitwa.

Panie dokoła cierpienia bez miary,
Łez coraz więcéj, coraz sroższa dola,
Lecz choć daremne i łzy i ofiary,
Mówimy w skrusze z sercem pełnem wiary,
Niechże się dzieje święta Twoja Wola!

Chociaż pioruny biją tu na ziemi,
I świat urąga się naszéj niedoli,
My się pod krzyż Twój, o panie schronimy,
I w kole cierpień szemrać nie będziemy,
Naprzeciw wielkiéj, świętéj Twojej woli!

Więc choć kajdany ręce nam spętały,
Choć nas ścisnęła w wręku swym niewola;
Usta niebędą przekleństwa rzucały,
I zniesiem mężnie co nieba zesłały,
Zpokorą mówiąc: Wszak to Twoja Wola!..

A jeśli Panie w litości Twéj szczycie,
Na nędzne dziatki spojrzy miłość Twoja,
Błagamy Boże osłódź nam to życie,
Otrzyj te zdroje łez płynących skrycie!
Lecz niech się dzieje święta Wola Twoja!

G . . . . . .

Widzenie.

Przed fórtą ojców Kapucynów w Wiedniu stanął w roku 1809 dnia 5 Października wspaniały pojazd, a zeń wysiadł Cesarz Napoleon: i wierny towarzysz jego jenerał Rapp! — Jeden z ojców duchownych przyjął ich pokornie i na życzenie przybyłych wprowadził zaraz do grobowca cesarskiego. —

Wieczorna już była godzina — kiedy Napoleon stanął pomiędzy trumnami austryackich książąt — owych książąt, w których kraje wojnę sprowadził, w których stolicy właśnie był zamieszkał. Z uwagą przypatrywał się pomnikom, oświeconym w téj chwili blademi kagańca promieniami. — W grobowcu panowała uroczysta cisza. Z założonemi rękoma: głową odkrytą stanął przed posągiem marmurowym, na którym wyryte stały te słowa: „Tu spoczywają w wiecznym śnie pogrążone szczątki osób koronowanych, równie spokojnie, równie opuszczone, jak szczątki najuboższego człowieka. Gdzie jest przepych, który ich otaczał za życia? Gdzie są tysiące ludzi, którzy pokornie przed nimi zginali kolana? Ich zwłoki spoczywają tu w dole a przechodzień równie obojętnie obok nich, jak około innego grobu przejdzie. Czy marmur lub drzewo otacza kruchą robactwa ucztę, zawszeć los zniszczenia jest sobie równy! Umarłego obywatela broni to zdanie: De mortuis nihil, nisi bene! zmarłego księcia nie obroni ono, gdyż w życiu pochlebstwa tylko słyszał, zaś prawda, wychodzi dopiero na światło, kiedy on z światłem się już rozstał. — Książęta sądzą świat. — Historya zaś sądzi książąt. —

Napoleon stał jeszcze w grobowcu i oglądał marmur na którym stały te słowa, a myśli ponure owionęły duszę jego. On, który się przez szczęście, przez geniusz, wcisnął w koło koronowanych, on stał obecnie w środku zmarłéj rodziny starych cesarzów. — Jego oko spoczęło na pomniku. Józef II., syn ten wielki, sławnéj matki, odpoczywał tu po trudach życia swego, jego serce ucichło już, to serce, które z równem uczuciem dla wszystkich ludzi biło, to serce wielkie, które z równą miłością całą ludzkość objęło. —

Całe życie syna Maryi Teressy stanęło w myśli Napoleona i mówił do siebie: „On był człowiekiem, w całem znaczeniu tęgo słowa, i nawet człowiek odnosił w nim często zwycięztwo nad panem, ale to niedobrze — narody chcą być pod ostrą władzą i bojaźń powinna nad ich głowami się unosić. — Kto się do nich zniża, przed tym się one nie zniżą, a do żelaznéj woli trzeba żelaznego ramienia! — Tak, tak," mówił daléj w zamyśleniu, „to nie dobrze sztandar wolności zatknąć na wieżach, tylko przed strachem schylają się ludzie, tylko w jarzmie pracuje bawół i tylko w klatce stępieją kły lwa! — Co Józef II, odziedziczył, to ja sobie wywalczyłem; on osiadł na tronie swych ojców, ja sobie swój wystawić musiałem — z ruin rewolucyi zbudować go. Tron będzie istniał daléj a daléj — lecz czy mój ród na nim się utrzyma? Umocnież go tak by i moich potomków przetrzymał? — Wielką jest moja potęga obecnie! bo wszakżesz pół świata słucha głosu mego, a przecież jeszcze nie jest tak silną, by ją lada burza zachwiać nie zdołała! A ta burza oh! ona wieje od brzegów Anglii, bez przestanku, równie mocna, równie potężna, o ta burza jest największym moim wrogiem! — Otwartéj bitwy nie boję się, ale owéj skrytéj — cichéj przebiegłości, która aż w głąb mojej Francyi swe szpony zapuszcza, która odwraca odemnie tych, co im ufam, co ich wielkimi uczyniłem, która sieje ziarno niezgody w rolę moję — tych o tych obawiam się — wszakżesz gdy wiele robaków tam i najbujniejsze dęby się walą! — O gdyby można przyszłość odsłonić!" —

Napoleon umilkł cicho znów było w grobowcu. Światło kagańca bledsze rzucało promienie, a Cesarzowi zdawało się, że widzi obraz potężny, który na kształt okrętu przesuwa się przed okiem jego. — To woda — morze okiem nie przejrzane, widzi przed sobą i nic jak bałwany, fale i wodę a nad nią błękit cudowny nieba! Co za pustynia, co za obraz przykry! — Ale stój! z pośrodka morza wznosi się skała, a na téj skale stoi człowiek wielki — większy od wszystkich. Przecież ta wielkość nie jest owocem szczęścia, które swego ulubieńca, podobnie jak słońce trawkę z ziemi wyciąga; — ta wielkość nie jest dzieckiem potęgi, ta wielkość nie napełnia nikogo bojaźnią, o nie, bo to jest ogrom nieszczęścia, który obudza uczucie litości, a ów człowiek przykuty do skały wyciąga daremnie ręce do kraju — do braci! — to jest wielkość nieszczęścia, która dosyć jest silną tak jak przed tem korony, dźwigać teraz najcięższe smutki!

I obraz ten jakoby ręką czarodziejską trzymany stał długo przed nim. Morze szumi. Ciemne bałwany wzbijają się ku niebiosom a fale z wściekłością uderzają o skałę. — On się trzyma bez zachwiania, bo skały mocniéj stoją w wodzie niż trony na ziemi. — Gorący, niezdrowy wjatr powiewa czasem nad tą wyspą skalistą, ale ów człowiek wielki żyje jeszcze, blady jest wprawdzie i drzą ręce jego — przecież duch został w nim młody. —

W tem czarna chmura zawisła nad skałą i burza wre nad nią Ha! stój zbliża się chwila. — Ludzie nie mają litości, ale Bóg ją ma i zesłał uwolnienie. — Chmura otoczyła przykutego więźnia — kajdany pękły a duch ku niebiosom wzleciał przez obłoki!

Potem znów cicho było na skałach — wiatr ustał — morze się uciszyło a na wyspie jeden grób więcéj! —

Napoleon zadrżał — spojrzał do koła. Gdzież on? w grobowcu starych cesarzy. Głos jakiś woła? „Człowieku twą przyszłość ujrzałeś!" A cesarz odszepnął: „Idźmy daléj, naprzód śmiało — kiedy tylko podziw przyszłych wieków nam należeć się będzie!"

Północ uderzyła kiedy przybytek umarłych opuszczał Napoleon! —

Grób w Nowym-Yorku.

Ciąg dalszy.

Obojętna na piękne i wspaniałe gmachy, które Nowy-York zdobią, mija Marya najpiękniéjszy jego budynek New-Yor-Eshange, nie udarowawszy go i jednem spojrzeniem; wysyła tęskne źrenice daléj a dalej, spieszy tak hyżo po szérokim chodniku pięknéj Broadway, jak gdyby ją powiéw wiatru unosił, i juz sięga wzrokiem, w szeregu okazałych kamieniec trzy mile (ang.) długiéj ulicy, domu, gdzie swojego Kazimierza ma znaleźć. Nagle tchu jéj zabrakło, nogi drzą gwałtownie, kolana uginają się pod nią, im bliżéj chwili szczęścia, tém większa ogarnia ją trwoga. Lodowate żimno przebiega jéj żyły, zęby dzwonią jak od febry drescz-

czu' oczy bielmem żachodzą, wszystko w około niéj zdaje się krążyć; ściska rączkę dziecięcia swego, i bezsilnie opiera się o mur ozdobionego gmachu.., Przechodzący spojrzeli na biedną bladą kobietę, lecz każden szybko daléj dążył, gdzie go własny wołał interes.

— Mamo, pójdźmy mamo! — Marya okiem przedziera przestrzeń dzieląca ją od mieszkania bogatego kupca, w którego kantorze Kazimierz pracował, i znowu biegnie, moc moralna krzepi zwątlone siły, twarz jéj promienie, oczy się iskrzą gorączkowo, sił ostatku dobywa, a przecież rzekłbyś, że stopa jéj nie dotyka poziomu.

— Pan Konrad powraca! zawołał Kazio

Marya przystanęła, drętwiała. Konrad pobiegł był naprzód, ażeby Kazimiérza o przybyciu żony jego uprzedzić, i sam jeden powracał! Zbliża się zwolna, cała jego postać zwykle tak męzka chwieje się i przerażenie oznacza, rysy zmienione. twarz grobowo-blada. Marya postąpić daléj niezdolna, głos zamarł w niewieściéj piersi, ręce bezsilnie owisły, wzrok osłupiał, po chwili dopiero wyrwały się z jéj łona wyrazy:

— Mój Kazimiérz!.. mój Kazimierz!.. nie żyje! utopiła wzrok badawczy w oku Konrada, ale Konrad milczy, pierś męska gwałtownie żalem się wzdęła, milczy, łza tylko w oku jego przemówiła. — Niestety! nieszczśliwa odgadła prawdę, Kazimierz uległ pod ciężarem niedoli, zgryzot i pracy, pośród obcych, w obcéj spoczął ziemi!

— Pani masz syna, wyrzekł nakoniec Konrad, dla niego powinnaś...

Nie żyje!.. nie żyje!.. mój Kazimierz! — i z przeraźliwym jękiem upadła na ziemię. Ach, był to zawrzask najokropniejszéj boleści rozdartego serca! boleści, któréj ogrom tylko, jedynie tylko kobieta odczuć może.

Cisza i spokój wieczorny zaległy okolice Nowego-Yorku. Blady księżyc srebrne roztoczył promienie; jeden z nich oświetlił świeżą mogiłę, która wśród pysznych grobowców skromnym tylko czerniła się krzyżem. Żelazne na nim umieszczone litery: napis nie w krajowéj mowie, a nazwisko zmarłepo również obce i nieznane, — Oparta o znak Zbawiciela klęczy pochylona niewiasta, czarne ją kryją suknie; opodal chłopczyk ze złożonemi rączkami smutnem wzrokiem spogląda ku niebu, jak gdyby drogiego przedmiotu szukał w jego błękitach.

„Kazimierzu! mój Kazimierzu! wyrwało się z łona klęczącéj; przybyłam osłodzić cierpienia twoje! rzuciłam dom rodzinny, pożegnałam brata, i z uczuciem miłości i nadziei powierzyłam się bałwanom niezmierzonéj toni Oceanu, który dwa światy przedziela!.. Pragnęłam spocząć przy twojem sercu, podzielić z tobą trudy życia, znaleźć za srogie smutki nagrodę!.. i twój grób znalazłam, Ty śpisz mój luby, ty nie szłyszysz głosu moich jęków, ty nie widzisz łez twojego dziecięcia!.. Dwoje sierot klęczy przy mogile kryjącej zwłoki twoje, dwoje sierot z daleka przybyłych!" Kazimierzu! ja nie zadługo za tobą pospieszę, mój luby! połączymy się tam, gdzie nas już nic nie rozdzieli. Pospieszę do ciebie Kazimierzu, znękana przeciwnociami losu, przytłoczona niezliczoemi zgryzoty!.. syna naszego, to drogie dziecię, po krótce dwojako osierocone, powierzę opiece brata: bo już miłość matki nie zdoła wskrzesić ulatującego życia... Czuję zbliżenie się chwili ostatniego kresu, aby mi przynajmnéj siły do przetrwania podróży starczyły! Lecz wszakże Bóg jest litościwym i nie opuści biednéj sieroty! Ja ufam świętéj jego opiece, a Józef uroczyście wywiąże się z poruczonego mu obowiązku. Kaźmierzu! tylko kilkochwilowém szczęściem zajaśniało nam życie, potem bolesne pożegnanie, potem cierpienia i tęskność bez kresu, a teraz twój grób!.. — Nieszczęśliwa z przepełnionéj boleści, z okrzykiem rozpaczy, twarzą na mogiłę bezsilnie upadła.

Mamo! mamo! zawołał płaczliwie Kazio w tę chwilę wybiegł z poza pomnika okazałego mężczyzna, współziomek Maryi, i wyniósł zemdloną z cmentarza

W kilkanaście dni późniéj okręt amerykański odpływał do Europy; suchem okiem, z śmiertelną raną w sercu żegna Marya ziemię, w któréj zostawia zwłoki Kazimierza, z któréj uniosła tylko garść piasku z mogiły drogiego męża, i najboleśniéjsze sieroctwo

— Cóż posyłasz w strony rodzinne? zapytała ziomka, ktory w pierwsych chwilach jéj najwyższego nieszczęcia stał się dla niéj aniołem smutnéj pociechy.

— Tęsknotę, gorące modły i życzenia! — zamdliło się oko, i ręki skinieniem wysłał może ostatnie od siebie pożegnanie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Rozmaitości.

— Dnia 3 b. m. zakończył życie w mieście Lipnie pułkownik, wojsk polskich Marceli Bacciareli, kawaler legii honorowéj i polskiego krzyża Virtuti militari. Starzec ten liczył lat 75.

— W ciągu czterech ostatnich miesięcy sprzedano w Księstwie Poznańskiem razem 27 majątków; 16 właścicieli sprzedających było Niemcami a reszta 11 Polakami. Nabywców było 14 Polaków a 13 Niemców. Trzy majątki nabyło towarzystwo Tellusa.

— W górnym Szląsku, gdzie jak wiadomo ludność wiejską stanowią Polacy, odbywają obecnie misyę księża jezuici ze Szremu, szerząc mianowicie towarzystwa wstrzemięźliwości Szpekulujący na rozpojenie ludu polskiego szynkarze, sprzedają mu więc tak nazwane krople. czyli wódkę eteryzowaną. Lekarze zauważali, że upojenie takiemi kroplomi najgorsze za sobą pociągają skutki, wiodąc w szale niepamiętnym do zbrodni dawniéj niesłychanych.

— Reprezentanci miasta Poznania na ostatniem posiedzeniu postanowili jednogłośnie, aby poprzeć budowę drogi żelaznéj z Poznania do Warszawy na Strzałkowo emisyą akcyi w sumie 350,000 talarów.

Prenumeratę na **Kuryerka Poznańskiego** przyjmują: **Redakcya** ulica Strzelecka Nr. 1; pan kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł; p. księgarz **Rejzner** ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz** Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ulica Berlińska; p. cukiernik **A. Szpingier**, naprzeciw poczty; p. **Ernest Malade**, ul. Fryderychowska Nr. 19.; kupiec p. **P. Nowicki**, ul. Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe**.

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha.